

WILLIAM FAULKNER

**FLAGI
POKRYŁ
KURZ**

Przełożył i napisał postowie
Maciej Płaza



ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Staruszek Falls jak zwykle wprowadził Johna Sartorisa do pokoju, przeszedłszy trzy mile z okręgowej farmy dla ubogich, wniósł ducha zmarłego niczym zapach, czystą pylną woń swoich spłowiałych ogrodników, do pokoju, gdzie siedział syn zmarłego i gdzie oni dwaj, biedak i bankier, mieli przesiedzieć pół godziny w towarzystwie tego, który przekroczył śmierć, a potem wrócił.

Choć uwolniony od czasu i ciała, był tam o wiele bardziej namacalnie obecny niż każdy z tych dwóch starców, pokrzykujących do siebie, by przebić się wzajem przez swoją głuchotę, podczas gdy w sąsiednim pomieszczeniu interesy banku szły swoim torem, a w przyległych z obu stron sklepach ludzie wsłuchiwali się w niewyraźny gwar ich głosów, który dochodził zza ścian. Był o wiele bardziej namacalny niż obaj starcy, przymurowani wspólną głuchotą do umarłych dziejów i wychudzeni powolnym ubywaniem dni; nawet gdy staruszek Falls wyruszył już w trzymilową wędrowną powrotną do miejsca, które nazywał teraz domem, zdawało się, że John Sartoris krąży jeszcze

po pokoju nad głową i naokoło syna, ze swą brodatą, jastrzębią twarzą, toteż gdy stary Bayard siedział ze skrzyżowanymi nogami podpartymi o narożnik zimnego kominka, trzymając fajkę w rękę, zdawało mu się wręcz, że słyszy oddech ojca, jak gdyby ten, o wiele bardziej namacalny niż zwykła, nietrwale uformowana glina, umiał przeniknąć nawet do niezdobytej cytadeli ciszy, w której żył jego syn.

Ozdobnie rzeźbiona główka fajki była osmalona od częstego używania, na ustniku zaś widniały ślady zębów ojca, zostawił on tam, jakby w wiecznotrwałym kamieniu, wyraźny odcisk swych niezniszczalnych kości, niczym stworzenia z ery prehistorycznej, które obmyślono i wykonano ze zbyt wielkim przepychem, by mogły istnieć bardzo długo lub po wyginieciu zniknąć doszczętnie z powierzchni ziemi, ukształtowanej i urządzonej dla lichszych istot. Stary Bayard siedział, trzymając fajkę w rękę.

– Po co mi to dajesz po tylu latach? – spytał wcześniej, obracając ją w palcach.

– Ano miarkuję, że miałem ją tak długo, ile pułkownik by sobie życzył – odparł starszy Falls. – Jakoś tak nie wypada trzymać w przytułku czegoś, co było jego, Bayard. A idzie mi już dziewięćdziesiąty czwarty rok.

Potem zebrał swoje paczuszki i odszedł, a stary Bayard siedział jeszcze przez jakiś czas z fajką w rękę, z wolna pocierając kciukiem jej główkę. Po chwili odszedł także John Sartoris, a raczej wycofał się do miejsca, w którym ukojeni zmarli kontemplują swoje chwalebne porażki, Bayard natomiast wstał, wcisnął fajkę do kieszeni i wyjął cygaro z kasetki stojącej na gzymsie kominka. Gdy odpalał zapałkę, otworzyły się drzwi po drugiej stronie pokoju i wszedł mężczyzna z zielonym daszkiem na czole.

– Simon już jest, pułkowniku – powiedział głosem wyby-
tym wszelkiej intonacji.

– Co? – spytał stary Bayard poprzez płomień zapałki.

– Simon przyjechał.

– A, dobrze.

Mężczyzna odwrócił się i wyszedł. Stary Bayard wrzucił zapałkę do kominka i schował cygaro do kieszeni, zamknął sekretarzyk, sięgnął po leżący na jego szczycie czarny filcowy kapelusz i wyszedł za tamtym z pokoju. Mężczyzna z daszkiem i kasjer krzatali się za kratą. Stary Bayard przeparadował poprzez salę i przez drzwi zasłonięte zieloną roletą wyszedł na ulicę, gdzie Simon w płóciennym prochowcu i staromodnym cylindrze trzymał w munsztuku parę dobranych maścią wałachów, połyskujących w świetle wiosennego popołudnia.

Był tam słup do przywiązywania koni, pozostawiony przez starego Bayarda w krnąbrnym geście wzgardy wobec postępu cywilizacyjnego, Simon jednak nigdy z niego nie korzystał. Póki nie otworzyły się drzwi i Bayard nie wyłonił się zza opuszczonej rolety, na której widniał złuszczony złoty napis BANK ZAMKNIĘTY, nie ruszał się z kozła, w lewym ręku trzymał lejce, w prawym bat ze zręcznie schowanym rzemieniem, a w ustach na ogół niezmienny, niegasnący, zdawałoby się, kawałek cygara, sterczący pod zawadiackim kątem z jego czarnej twarzy, i zalewał lśniąca parę wałachów miarowym potokiem miłosnej mowy. Simon rozpieszczał konie. Sartorisów darzył podziwem i ciepłą, opiekuńczą czułością, konie zaś po prostu kochał, pod jego ręką nawet najmarniejsza szkapa dosłownie rozkwitała, piękniała niczym pieszczona kobieta i nabierała temperamentu operowej primadonny.

Stary Bayard zamknął za sobą drzwi i podszedł do bryczki, tak sztywno wyprostowany, że jak pewnego razu zauważył ktoś

z okolicy, gdyby się potknął i upadł, sam sobie zagroziłby drogę. Kilku przechodniów i jakiś sklepikarz stojący w swoich drzwiach pozdrowili go z wylewną uniżonością, a w jednym z okien za Bayardem rozchyliła się roleta, odsłaniając pozbawioną ciała twarz księgowego z zielonym daszkiem na czole. Księgowy pochodził ze wzgórz, był milczkiem w nieokreślonym wieku, obowiązki wypełniał z powolną, zmuśną pieczołowitością i ukradkiem obserwował Bayarda, gdy tylko miał go w zasięgu wzroku.

Simon nawet teraz nie zszedł z kozła. Z właściwym swojej rasie wyczuciem teatralnego efektu wyprostował się i poprawił zwisające fałdy prochowca, jakimś sposobem powiadamiając również konie o doniosłości tej chwili, aż potrząsnęły głowami w uprzężach, a ich lśniąca sierść zdrżała leciutko, gdy zaś ręką, w której trzymał bat, dotknął runda cylindra, jego pomarszczona czarna twarz przybrała nieopisanie majestatyczny wyraz. Bayard wsiadł do bryczki, Simon cmoknął na konie i przygodni gapie, którzy przystanęli, by podziwiać chwilowe widowisko odjazdu, zostali w tyle.

Simon miał dziś w sobie coś wyjątkowego, widać to było po kształcie w wygięciu jego pleców, w ułożeniu kapelusza; zdawało się, że rozpiera go jakaś doniosła myśl, której nie umie zachować dla siebie. Wstrzymał ją jednak na razie, szykownie powściągniętym tempem ominął uwiązane na placu zaprzęgi i skręcił w szeroką ulicę, gdzie ci, których Bayard nazywał dziadostwem, pędzili w obie strony automobilami, wstrzymywał się, dopóki miasto nie zostało w tyle i nie pokłusowali przez rozkwitające wiejskie okolice, gdzie nadal panoszyło się zmotoryzowane dziadostwo, tyle że w mniejszej liczbie, i dopóki jego pan nie rozsiadł się wygodnie, gotów na zmienną i ukojną monotonię czteromilowej przejażdżki. Wówczas

Simon powściągnął konie do nieco spokojniejszego kroku i odwrócił się.

Nie miał szczególnie dźwięcznego ani donośnego głosu, ale jakimś sposobem bez trudu umiał rozmawiać ze starym Bayardem. Inni musieli krzykiem przebijać się przez mur głuchoty, za którym żył Bayard, Simon natomiast swym jednostajnym i dość piskliwym zaśpiewem potrafił prowadzić z nim długie, beładne rozmowy, zwłaszcza podczas jazdy, gdy drgania bryczki odrobinę wyostrzały Bayardowi słuch.

– Panicz Bayard tego, no, wrócił – zagadnął konwersacyjnym tonem.

Stary Bayard siedział w absolutnym i wściekłym bezruchu, podczas gdy jego serce biło trochę za szybko i trochę za słabo, i przez tę chwilę wściekłości przeklinał wnuka; siedział tak nieruchomo, że Simon znów się obrócił i zobaczył, że jego pan bez słowa wpatruje się w dal. Nieco podniósł głos.

– Wziął i przyjechał pociągiem o drugiej. Hycnął z wagonu nie po tej stronie co trzeba i smyrnął przez las. Kolejarz go przyuważył. Tyle że jakim wyjeżdżał z domu, to go tam jeszcze nie było. I pomyślałem, że może jest z panem. – Kurz wzbijał się spod kopyt i włókł się za nimi ociężałym obłokiem. Cień bryczki falującym ruchem przesunął się po gęstniejących żywopłotach, migoczące szprychy i unoszące się końskie nogi stwarzały pozór jazdy naprzód. – Nie wysiadł nawet tak, o, normalnie na stacji – ciągnął Simon ze zrzędlivym rozdrażnieniem. – Na stacji, co to ją postawiła jego własna rodzina. Tylko hycnął z drugiej strony wagonu jak ta łajza. Nawet nie był po militernemu ubrany, tylko w garnitur, jak komiwojazer czy kto tam. Kiedy sobie przypominę tamte błyszczące oficerki i żółte portki, i te pasy z klamrami i zaprzęgami, co to zeszłego roku przyjechał w nich do domu... – Simon ponownie obejrzał

się za siebie. – Pan miarkuje, panie pułkowniku, że oni na tej wojnie to mu coś zrobili?

– Co masz na myśli? – spytał ostro Bayard. – Jest kaleką?

– No, że się tak zakrada do swojego własnego miasta. Zakrada się po torach, co to je pobudował jego własny dziadunio, jak jakiś łachmyta. Tamci obcoziemcy to chyba mu coś zrobili, albo może go ściga ta ich policja. A tyle, co mu się nagadałem, jak się tam wybierał, że przecie panicz Johnny i on nie mają na tej obcoziemskiej wojnie nijakiego interesu...

– Jedźże...! – przerwał mu Bayard. – Jedź i nie gadaj, przekłeta czarna bestio!

Simon cmoknął na konie i popędził je potrząśnięciem lejców. Nadal jechali pomiędzy żywopłotami, powtarzającymi ich ruchy swoim błazeńskim teatrem cieni. Za rosnącymi wzdłuż drogi błotniami, grochodrzewami i gęstymi pnączami świeżo zorane bądź dopiero orane pola ciągnęły się w stronę kęp lasu, młodo zazielenionych i upstrzonych kwieciem derenia i judaszowca. Sunące mozolnie pługi zostawiały za sobą lepkie skiby ziemi, które połyskiwały wilgotnie na słońcu.

Teren był wyżynny, rozpościerał się łagodnymi stokami na tle niezmaconego błękitu wzgórz, wkrótce jednak droga zbiegła stromo w dolinę, gdzie rozległe, żyzne pola drzemały przemożnie w zniżającym się świetle popołudnia, wówczas wjechali na ziemie należące do Bayarda, tu i ówdzie pozdrawiani przez oraczy uniesieniem ręki. Następnie droga zbliżyła się do toru kolejowego i przecięła go, aż wreszcie ukazał się dom, który John Sartoris zbudował, a potem odbudował wśród grochodrzewów i dębów, i przejechawszy z rozmachem przez żelazną bramę, Simon skierował bryczkę na łukowaty podjazd.

Był tam klomb z szałwią, przy którym pewnego dnia, dawno temu, zatrzymał się jankeski patrol. Simon zamaszycie

podjechał w to miejsce bryczką, a gdy Bayard wysiadł, ponownie cmoknął na konie, ułożył cygaro pod swobodniejszym kątem i odjechał z powrotem do miasta.

Bayard przystanął na chwilę przed domem, ten jednak śnił niewzruszenie w swej białej prostocie wśród prastarych, przestrzelonych słońcem drzew. Glicynia obrastająca jeden koniec werandy zdążyła już przekwitnąć, cienka warstwa opadłych płatków bieliła się wokół jej ciemnych korzeni i wokół korzeni róży, która pięła się razem z nią. Róża pomału, lecz nieubłaganie dławiła glicynię, obsypana była pączkami nie większymi niż paznokcie kciuka i kwiatami nie szerszymi od srebrnej jednolarówki, licznymi, pozbawionymi zapachu i niedającymi się zerwać.

Sam dom był jednak nieruchomy i pogodnie dobrotliwy. Bayard wspiał się na pustą, otoczoną kolumnami werandę, przemierzył ją i znalazł się w holu. Domostwo było ciche, przemożnie wyzbyte wszelkich dźwięków i ruchów.

– Bayard!

Schody o białych balustradach, wyścielone czerwonym dywanem, wznosiły się smukłym łukiem w półmrok piętra. Pośrodku sufitu wisiał kryształowy żyrandol z półkulistych i prostokątnych kloszy, pierwotnie przeznaczony dla świec, później podłączony do prądu; na prawo od wejścia, obok harmonijkowych drzwi, za którymi znajdował się mroczny pokój zwany bawialnią, tchnący majestatyczną atmosferą rzadko zakłócanej szacowności, wisiało wysokie lustro pełne solennego mroku, niby tafla zastygłej wieczorem sadzawki. Drzwi po przeciwnej stronie holu pokrywała biegnąca na ukos szachownica słońca, a zza słonecznego snopa dobiegał śpiew w molowej tonacji, wznoszący się i opadający jednostajnie niczym pieśń

kościelna. Słów nie dało się rozróżnić, Bayard jednak i tak ich nie słyszał. Zawołał ponownie:

– Bayard!

Śpiew umilkł, a gdy Bayard skierował się w stronę schodów, w ukosie słonecznego światła pojawiła się wysoka Mulatka, która weszła do domu tylnymi drzwiami i zbliżała się z szelestem. Wyblakłą niebieską spódnicę, upstrzoną nieregularnymi ciemnymi plamami, miała upiętą wokół kolan. Wystające spod niej golenie były proste i smukłe jak nogi brodzącego ptaka, a bosa stopy zdawały się plamami bladej kawy na ciemno lakierowanej podłodze.

– Wołał pan kogo, panie pułkowniku? – spytała głośno, by przedrzeć się przez jego głuchotę. Bayard przystanął z ręką wspartą na orzechowej gałce balustrady i spojrzął z góry na sympatyczną beżową twarz Mulatki.

– Czy ktoś przyjechał dziś po południu? – zapytał.

– Ale gdzie tam, panie pułkowniku – odparła Elnora. – Nie ma nikogo, przecie bym wiedziała. Panna Jenny pojechała na wieczór do swojego miastowego klubu – dodała. Bayard, stojąc jedną nogą na stopniu, spiorunował ją wzrokiem.

– Dlaczego wy, czarnuchy, nie możecie choć raz powiedzieć mi prawdy, do diabła? – wybuchnął zniecacka. – Albo w ogóle nie mówić nic?

– Bożeż ty mój, a niby kto miałby przyjść, kiedy nie przysłał go pan pułkownik ani panna Jenny? – Bayard jednak, tupiąc wściekle, szedł już na górę. Kobieta patrzyła za nim, potem zawołała jeszcze: – Przysłać Isoma czy jak? – Bayard nie obejrzał się, może nie usłyszał. Elnora patrzyła za nim, aż zniknął jej z oczu. – Starość go bierze – powiedziała do siebie cicho i szurając bosymi stopami, wróciła przez hol tam, skąd przyszła.